

Zapragnie zaspokoić swoje żądze. Zaślepiiony odrzuci od siebie normy moralne. A wszystko po to, by być ważniejszym od innych. Utwierdzić się w złudnym przekonaniu, że panowanie nad innymi zabezpiecza. Pozwala na pozbycie się skrepowania i kompleksów. Daje wyzwolenie.

Cierpliwie czekał na odpowiednią chwilę. Wkrótce, zagubienie powstałe na widok marazmu syberyjskiej miłośnicy, otworzy duchowi drogę do miejsca, gdzie ukryła się nadzieja. Wówczas Grummi z łatwością sparaliżuje wroga mu, oparte na zaufaniu uczucie. Nie mogło ono przeszkadzać w demonstracji euforii związanej z pojawieniem się próżnej pychy. Ułudy dotyczącej własnych możliwości, które tak naprawdę w niewielkim stopniu zależne są od człowieka.

Łzy związane z ekscytacją same zaczęły cisnąć się do niebieskich oczu, kiedy demon wyzwolił cały zapas pokusy. Zrobił to w czasie krótszym od jednej dziesiątej sekundy.

\* \* \*

Ścisły umysł napełnił się chęcią działania. Poczul napływającą zewsząd witalność. Automatycznie zaczął planować. Najpierw naprawa samolotu, najpóźniej za tydzień start i kontynuacja wyprawy. Szeroki uśmiech zagóścił na zarośniętej twarzy. Dość już siedzenia w sparaliżowanej krainie.

Mijały kolejne minuty. Nastrój mężczyzny z każdą chwilą ulegał zmianie. Niedawna radość i zapał straciły jasne barwy. Idea dotarcia do Jerozolimy wydała mu się zachcianką zarozumiałego ignoranta.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się koncepcja, by odłożyć swój wyjazd. Zachować się honorowo wobec gospodarza, który dał mu gościnę i spłacić dług. Pokazać lokalnej społeczności, jak może wyglądać inne życie. Również tu,

w zagubionej syberyjskiej głuszy, nie muszą tak ciężko pracować, aby utrzymać swoje rodziny. Wystarczy wprowadzić mechanizację. Potrzebny jest ktoś, kto się na tym zna. Skoro poradził sobie ze skomplikowanymi systemami samolotów, tym bardziej poradzi sobie z ulepszeniem maszyn w tartaku, i nie tylko. Wystarczy wiedzieć, jak tego dokonać i chcieć. Właśnie zaczął zastanawiać się, po co miałby to robić, kiedy Rosjanin odepchnął się od śniegu. Szybko nabierał prędkości, oddalając się od swojego towarzysza. Ten zaś nie chciał być gorszy.

Jazda na nartach była nie lada wyczynem. Dwie bukowe, wyprofilowane deski przymocowane do butów za pomocą skórzanych pasków, chwiały się na boki. Metalowe kłamry mocno krępowały stopy. Sprzęt, jakim posługiwano się tu od wieków. Prymitywny, a jednak ułatwiający poruszanie się.

Wyrobem nart zajmował się miejscowy kołodziej. Produkował on beczki oraz służące do jazdy na śniegu deski. Znał tajniki odpowiedniego doboru materiału, a co najważniejsze, posiadał sztukę wyginania bukowego drewna. Wszystkiego nauczył się od swojego ojca. Z pokolenia na pokolenie przekazywano unikalny zawód. W osadzie stanowiło to wyjątek. Było to jedyne rzemiosło, które wykonywali rdzenni mieszkańcy sioła.

\* \* \*

KONSTANTY przewrócił się dwa razy, niedoświadczony cudzoziemiec zjechał na sam dół bez upadku. Kiedy Rosjanin leżał w śniegu, znowu usłyszał dziwne słowa:

*„On zaczyna się tu czuć jak u siebie w domu. Szybko się uczy. Może zasiedzieć się na plebanii i będziesz miał kłopot. Już niebawem zaburzy spokojne życie kolonii. Jest*

*w nim nieokiełznana energia, której nie powstrzymasz. Nie hamuj jego ambicji. Wprost przeciwnie, pomagaj mu. Kiedy się ujawnią, musisz tak nim pokierować, aby był z tego pożytek. W przeciwnym razie doprowadzi do zamętu. Rewolucja spokojnym ludziom nie jest potrzebna. Kontroluj zatem sytuację. Czynię cię za to odpowiedzialnym”.*

— Czego ty ode mnie chcesz?

*„Naucz go kowalstwa. Daj mu kuźnię”.*

— To zależy od władzy, która pewnie niebawem przyśle nam nowego rzemieślnika.

*„Nadejdzie taki dzień, w którym będziesz mógł ofiarować przyjezdnemu nowy warsztat pracy. Dzięki temu uwolnisz się od wielu trosk. Twoje życie stanie się łatwiejsze”.*

\* \* \*

MILICJANT stał na progu. Choć nie mógł wiedzieć, że przyjdą, wyglądało to tak, jakby na nich czekał. Gdy tylko odpięli narty, zaprosił gości do środka. Komisariat znajdował się na parterze ratusza. Poza dwoma służbowymi pokojami oraz niewielkim mieszkaniem podoficera, pozostałe pomieszczenia budynku nie były użytkowane.

Zakratowane okna i okute blachą drzwi przypominały, że znajdują się na milicyjnym posterunku. Stojący na środku pokoju blaszany piecyk rozgrzany był do czerwoności. Z rury odprowadzającej spaliny unosiło się ciepłe powietrze.

Podali sobie ręce, po czym funkcjonariusz poczęstował ich papierosami. Gdy odmówili, tylko wzruszył ramionami. Nie czekając, aż ksiądz wyjaśni powód przybycia, zapytał:

- Widzę, Konstanty, że przyjechał do ciebie brat.  
— Podobny?  
— Ano podobny. Od razu widać, że z jednej krwi. Jak długo z nami zostanie? Przez zimę?  
— Krócej.  
— Trzeba go zameldować.  
— Nie trzeba. Nie zamieszka tu dożywotnio. Ani nawet do wiosny.  
— Jeśli nie w tej sprawie, to po co przyszlście?  
— Zgłosić zdarzenie. Oficjalnie.  
— Co się stało?  
— Kowal miał wypadek w lesie przy ścinaniu drzew. Napadły nas wilki.  
— Jest ranny?  
— Nie żyje.  
— No to paskudnie. Będę musiał spisać dokładny protokół. Ty ułóż sobie wszystko w głowie, a ja przygotuję posiłek i coś na rozgrzewkę – mrugnął porozumiewawczo. – Jak podjemy, podyktujesz mi co mam odnotować, aby było zgrabnie i nie za dużo. Masz wprawę w pisaniu kazań, to i meldunek pomożesz mi sporządzić.

Wyszedł, głośno zamykając drzwi. Zgrzyt metalu był nieprzyjemny.

Amerikanin chciał wyrazić swoje oburzenie ze względu na kłamstwo odnośnie swojego braterstwa z Rosjaninem, ten jednakże gestem ręki nakazał mu milczenie. Kiedy dłoń wzbraniająca zabranie głosu opadła, jej właściciel głośnym szeptem wyjaśnił:

— Uznał cię za mojego brata, zatem nie będzie zadawał pytań. Nie nabierze podejrzeń. Ma mózg zniszczony samogonem i wyprany na licznych szkoleniach. Jeżeli wpadnie na pomysł, aby sprawę wyjaśnić na własną rękę, rozpocznie trwające tygodniami przesłuchanie.

W tym czasie będziesz pod nadzorem alkoholika. To nie wyjdzie ci na zdrowie.

— Nie pojmuję, jak tak może być – odrzekł z oburzeniem. – Miałem awarię maszyny i w tej sytuacji mogę chyba oczekiwać pomocy ze strony lokalnych służb? Posiadam ubezpieczenie gwarantujące opiekę medyczną i zwrot kosztów, zarówno remontu sprzętu, jak i mojego transportu do Stanów w razie przypadku samolotu.

— Chorąży weźmie to za bajkę. Ponadto ten papier nie ma tu żadnej wartości. Jak miejscowa władza może ci pomóc? Dać konia i strzelbę? Nie widzisz, że tu nie ma tego, co z dumą nazywasz cywilizacją?

— Gdzieś przecież jest miasto. Ile kilometrów stąd? Dwadzieścia, pięćdziesiąt, a może sto?

— Dwieście.

— To też jest odległość do osiągnięcia. Zresztą wystarczy wykręcić odpowiedni numer telefonu i poinformować, kogo trzeba.

— Naszą osadę otacza osiem obozów pracy. Każdy z nich położony jest w odległości około trzydziestu kilometrów stąd. To strefa specjalna. Jeśli komendant powiatu dostanie wiadomość, że ktoś nieznajomy przyleciał tu samolotem, zechce to sprawdzić. Może wziąć cię za szpiega. Rząd nie chce chwalić się gułagami dwudziestego pierwszego wieku.

— To co mówisz jest przerażające. To nie może być prawda.

— Siedź cicho i rób, co mówię. Daje ci to nadzieję, że odlecisz swoją cenną jak tylko ustąpią mrozy.

— Kiedy to będzie?

— Zima powinna zelżeć w połowie lutego.

— To ponad dwa miesiące.

— Krótko.

— Sześćdziesiąt dni to wieczność.

— Jeśli cię zamkną w więzieniu dla politycznych, do pierwszego przesłuchania może minąć sześć albo i osiem miesięcy. To nie lokalny areszt. Sprawę zrobią ci za trzy, cztery lata. Albo cię uniewinnią, albo podzielisz los innych podejrzanych o szpiegostwo. Sześćdziesiąt dni to chwila.

— Czemu mnie straszysz?

— Nie straszę, próbuję tylko wytłumaczyć.

— Dopiero teraz? Czemu wcześniej nie wyjaśniłeś mi, w jak trudnej sytuacji się znalazłem?

— Chciałem, byś najpierw zaadaptował się do naszych surowych warunków. Okazała się nadarzyła się właśnie teraz.

— Czuję się tak, jakbym dostał się do piekła.

— To jeszcze nawet nie jest czyściec. To tylko Syberia. Dokładniej Jakucja.

— Próbujesz dać mi do zrozumienia, że jestem szczęściarzem?

— Mam w tym swój cel.

— Jaki?

— Wspominałem już. Pomożesz mi przygotować Boże Narodzenie.

— Dziwne życzenie.

— To ważne święto.

— I powód, dla którego chcesz opóźnić mój wyjazd?

— Jest jeszcze jeden. Nauczysz mnie latać.

— Do tego trzeba wielu godzin specjalistycznego szkolenia.

— A ty zrobisz to w kilka dni.

— To niemożliwe.

— Jestem bardzo zdolny.

— Jesteś szalony.

— Nauczysz mnie pilotować cessnę.

— Jak rozumiem, nie dajesz mi wyboru.

— Ty także szybko się uczysz.

— To szantaż.

— Prośba.

Ksiądz odwrócił się. Zaczął pstrykać palcami, co zwykle przynosiło mu ulgę w trudnych sytuacjach. Sam nie wiedział, co mu przyszło do głowy, aby zmuszać swojego towarzysza, by ten nauczył go pilotażu. Tak nie powinno się traktować gości.

Kiedyś marzył, aby w małej awionetce wznieść się w powietrze. Być panem przestworzy. Maszyna, posłuszna jego woli, mogłaby wykonywać przeróżne ewolucje. W okresie komunistycznego niewolnictwa pragnienie oderwania się od ziemi stanowiło namiastkę wolności. Jako młodzieniec rozpoczął szkolenie, lecz nie dane mu było go ukończyć. Minęło tyle lat. Od dawna już był dojrzałym, doświadczonym przez życie kapłanem. Czyżby rzeczywiście nadal chciał zostać pilotem? Uciec od codziennych trosk i własnych słabości? Dzięki zbiegowi okoliczności nadarzyła się okazja, aby usiąść za sterami awionetki. Skoro tak się stało, powinien ją wykorzystać. Innej nigdy już pewnie nie będzie.

\* \* \*

GRUMMI realizował swój plan. Bezustannie przeskakiwał pomiędzy umysłami rozmawiających mężczyzn. U swojej ofiary, po niedawnym przedstawieniu wizji potęgi, starał się zburzyć wiarę w ludzkie możliwości. Dołożył do tego obawy o przyszłość i przedstawił jej czarny scenariusz.

Przyjdzie taki moment, kiedy konstruktor przestanie być bierny. Już niebawem zacznie walczyć. Zrobi to ze względu na przerost ambicji. Po trosze również ze strachu. Wyzwoli z siebie ogromną aktywność. Podporządkuje sobie wielu i poczuje jedyny w swoim rodzaju smak władzy. Zachłyśnie się nim i już nie będzie mógł żyć inaczej.

Duchowny był mu potrzebny jako narzędzie. Rozum wyćwiczony w modlitwie i medytacjach nagle wyszedł poza swoje ramy i zaczął pożądać czegoś osobliwego: zapragnął polecieć ponad lasem w maszynie cięższej od powietrza.

Na korytarzu słychać było kroki milicjanta. Duch ukrył się w swoim mieszkaniu. Typ, który nadchodził, był zimny. Z pozoru przyjacielski i rubaszny, tak naprawdę przypominał drapieżnika. Negatywna aura otaczała jego ciało. W nim nie zamieszka żadna eteryczna istota. Przeznaczenie biednej duszy było wiadome. Sama się zgubiła. Takich dusz nie lubiło nawet piekło.

\* \* \*

CHORAŻY przyniósł butelkę bimbrową i pęto kaszanki. Po dwóch kolejkach wychylonych z małych musztardówek, zabrał się za pisanie protokołu. Od początku do końca robił to pod dyktando. Po dwudziestu minutach wysiłku meldunek był gotowy.

Gospodarz odprężył się. Dłuższą chwilę przyglądał się swoim kompanom. W najbliższej okolicy był jedyną władzą. Przestrzeganie przepisów to jego powinność, zaś służba, rzecz święta. Musi dawać dobry przykład, choćby sobie samemu. Wzdrygnął się przed myślą, że jeszcze raz będzie musiał wypełnić liczne rubryki, a później opisać zaistniałą sytuację. Po sekundzie wahania, zdecydował się nie odkładać sprawy na później. Spojrzał na brata proboszcza i rzekł:

— Masz przy sobie jakiś dokument?

— Zgubiłem w trakcie walki z wilkami – skłamał pytany, starając się właściwie akcentować poszczególne słowa. Wypity alkohol mógł sprawić zaburzenia w głosie. Źle wypowiedane zgłoski nie powinny zatem nikogo dziwić.

— Ale dane pamiętasz.



— Nie wszystkie.

— To nic nie szkodzi. Podaj mi adres stałego zameldowania, datę urodzenia oraz imiona rodziców. Wyślę to do Obwodu, a oni dalej. W ten sposób odtworzymy twój dowód osobisty.

— Idę o zakład, że pamiętam wszystkie dane mojego brata – wtrącił Konstanty. – Za każdą pomyłkę stawiam flaszkę. Zakładamy się? – dodał zachęcająco.

— No to stoi – odparł podoficer, śmiejąc się gardłowo.

— Jeśli się nie pomyłę, po butelkę pójdzie pan władza.

— Daleko nie mam.

— Iwan Iwanowicz Petrow, urodzony w Petersburgu, w dniu drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, zamieszkały także w mieście Petersburg, Aleja Róż dwanaście, mieszkanie numer trzydzieści sześć.

— Bezbłędnie – potwierdził człowiek nazwany Iwanem.

— A może coś się nie zgadza, a ty nie zaprzeczasz, bo zakład stoi.

— Przecież wyślesz moje dane do Obwodu.

— Ano racja. No to idę po butelkę.

Ledwie zamknął za sobą drzwi, gdy ksiądz usłyszał pełen wątpliwości głos:

— Czy te informacje choć trochę trzymają się kupy?

— W stu procentach.

— Masz brata?

— Już nie. Odszedł zeszłej zimy. Na atak serca.

— Więc nie ma go już w kartotece żywych.

— Jest.

— Jak to?

— On zmarł tutaj. W moim domu. Przyszedłem poinformować o tym jedyny funkcjonujący w osadzie urząd, ale zastałem milicjanta tak pijanego, że jakkolwiek kontakt z nim nie był możliwy. Wobec tego pochowałem

Iwana, nie zgłaszając tego faktu lokalnej władzy. Niewiele ryzykowałem. Może kiedyś zechcę się stąd wyrwać? Wówczas mogę pojechać do Petersburga. Ciągle mam klucze do mieszkania w Alei Róż.

- O ile jest jeszcze wolne.
- Opiekuje się nim nasza stara ciotka.
- Dziwne to wszystko.
- W tym północnym kraju wiele na pozór dziwnych rzeczy jest dla nas normalnych.

\* \* \*

DEMON nie był zadowolony. Nadzieja pojawiła się zbyt szybko. Nie docenił sprytu i zapobiegliwości duchownego. Zrobili sobie zabawę w konspirację. Jeszcze trochę i zaczną traktować to jako rozrywkę. Wobec nie zamierzonego obrotu sprawy, mógł jeszcze podjąć próbę ingerencji w umysł milicjanta. Pozazdrościł ludziom. Gdyby i on miał możliwość wychylenia szklanki samogonu, może zdołałby zanurzyć się w zimnym umyśle podoficera z mniejszym wstrętem.

Długo nie mógł zdecydować się na opuszczenie swojego gospodarza. Wahał się, rozważając wszystkie za i przeciw. Ostatecznie doszedł do wniosku, że poczeka na rozwój wypadków. Nadmiar alkoholu może mu ułatwić zadanie. Tymczasem wyzwolił u Amerykanina chęć przymierzenia milicyjnej czapki. Niestety, nie było mu w niej do twarzy.

Biesiadnicy opróżnili drugą, a później trzecią butelkę i nic się nie stało. Podczas krótkich przerw w picciu, wypełnili kwestionariusz, celem uzyskania nowego dowodu dla przyjeźdnego. Konstanty wypisał na maszynie dokumenty zastępcze, które zaparafował i opieczetował chorąży.

Słodkawe opary bimbrowy wydechane przez trzech pijanych biesiadników unosiły się w powietrzu. Zmieszane z tytoniowym dymem utworzyły ciężką, typową dla libacji atmosferę. Grummiemu pozostało tylko zapaść w letarg i czekać na ranek dnia następnego. Alkohol nie spełnił pokładanych w nim nadziei, ale kto wie, może jego uboczne działanie da się jakoś wykorzystać?

\* \* \*

AMERYKANIN ocknął się pierwszy. Leżąc bez ruchu, czekał na objawy typowe po nadużyciu alkoholu, ale nie nadeszły. Doszedł do wniosku, że wciąż jeszcze jest pijany.

Do śniadania wypili po szklaneczce bimbrowy. Miliant z Konstantym na kaca, zaś Jankes, aby łagodniej owego kaca przełożyć na dzień następny.

Z ratusza wyszli (dla postronnego obserwatora „wypęzli”) koło południa. Zaraz jak tylko dotarli na plebanię, rozpalili ogień, po czym poszli spać. Obydwaj rozłożyli się na piecu. Szum palącego się drewna działał kojąco.

\* \* \*

KOWAL przyspieszył kroku. Wieczorem dnia poprzedniego miał złe przeczucia. Przez większą część nocy nie zmrużył oka. Na opuszczenie miejsca pracy zdecydował się na długo przed brzaskiem. Zdąży dojsć do domu o świcie.

Wraz z innymi został zaangażowany do prac związanych z remontem zapory. Tego roku rzeka rozmarzała szybciej niż zwykle. Ogromne lodowe kry, jedna po drugiej uderzały w żelbetonowe umocnienia, naruszając konstrukcję. Aby nie doprowadzić do katastrofy, naprawa musiała być dokonana szybko.

Zaangażowano wszystkich pracujących w tartaku, jak i poza nim, fachowców oraz kilkudziesięciu pracowników fizycznych. Właściciel przedsiębiorstwa drzewnego udostępnił cały posiadany sprzęt. Zgromadzono odpowiednie zapasy stali zbrojeniowej, cementu i piasku. Rekonstrukcja zniszczeń była rzeczą najważniejszą.

Lepkie błoto rozbryzgiwało się spod stóp z każdym stawianym krokiem. Okoliczne skały pogłębiały poczucie grozy. Szum strumienia, wzdłuż którego szedł, także nie był miły. Lodowato zimna woda rozbijała się o wystające ponad lustro wody, ogromne głazy. Otoczenie nie dodawało otuchy.

Kiedy znalazł się przed kuźnią, poczuł trwogę. Jasna luna, która rozświetliła horyzont, zapowiadając wschód słońca, także nie poprawiła nastroju rzemieślnika. Nad warsztatem znajdowało się małe mieszkanie. O tej porze w oknie powinien zobaczyć blask palącego się światła. Każdego ranka o świcie Lena rozczesywała swoje długie, jasne włosy. Zaplatała warkocz, który wiązała potem w kok z tyłu głowy. Była piękna i bardzo ją kochał. Spod przymkniętych powiek lubił patrzeć, jak grzebień zagłębia się we wspaniałe loki, by zmienić ich kształt. Nuciona przy tym piosenka dodawała scenerii ciepła. Sprawiała, że była ona jedną z tych chwil, których nigdy nie zapomni. Podobnie czyniła jego matka w rodzinnym domu w dalekiej Gruzji.

Szyby były ciemne. Coś musiało się stać. Coś złego.

Do pomieszczenia wszedł tylnymi drzwiami. Widok, jaki ujrzał, wywołał szok, z którego szybko się otrząsnął.

W pomieszczeniu znajdowało się trzech mężczyzn. Nieprzytomna Lena leżąca na posadzce. Porozrzucane wokół głowy, czerwone od krwi włosy, lepiły się do podłogi. Czerwone pręgi na ciele świadczyły o tym, że była bita.